



**Potem
przychodzi
ktoś
inny**

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

POTEM PRZYCHODZI KTOŚ INNY...

Kryminał z myszką – Tom 66

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-75-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: Czytelnik, Warszawa 1970, seria „Z jamnikiem”

Rozdział 1

Przyjdę do ciebie, niebieskooka,
Przyjdę do ciebie, gdy będzie świt...

[„Niebieskooka” – słowa R. Sadowskiego, muzyka H. Klejnego.]

Odłożył książkę, przymknął oczy. Lubił tę piosenkę, nie dla wspomnień, żadna niebieskooka nie była mu bardzo bliska, raczej szaro- i ciemnookie. Wyciągnął rękę, przekręcił trochę gałkę regulatora, śpiew stał się głośniejszy.

Bo moje oczy są granatowe,
Bo w moich oczach granatów pęk...

Może to jednak były wspomnienia, chociaż nie o dziewczynie. Wtedy, w maju, w lasku pod Rąbłowem – cholera, jak to już dawno, szczeniak był z niego, dzisiaj łeb zaczyna siwieć – wtedy miał w oczach tysiące granatów, pękających dokoła i nad głową, lasek był okrążony, „Wiking” nie spodziewał się chyba takiego oporu. Ze trzystu esesmanów poszło do piachu.

Podniósł się z fotela, spojrzął na zegarek. Pięć po dziewiątej. Młoda godzina, można się przejść. Rzadko mu się zdarzały takie spokojne niedzielne wieczory, kiedy milczał telefon i dzwonek u drzwi. Lekarz kazał regularnie jadać, chodzić na spacer. Kupić psa. Ta ostatnia rada była jedyną, jaka mu przypadła do gustu. Ale nie mógł tego zrobić.

„I co by to biedne zwierzę tu robiło? – myślał. – Każdy pies zdechłby z nudów. Przecież ja nigdy nie mam czasu.”

Wszedł do łazienki, przyczesał włosy. Rzeczywiście, siwieją. Lustro odbijało pociągłą, śniadą twarz o głęboko osadzonych, czarnych oczach. Twarz podobała się kobietom, cóż, kiedy na kobiety miał niewiele więcej czasu niż na spacer z psem. Tak mu się ostatnio życie układało, samotnie i trochę niespokojnie.

Kiedy wrócił do pokoju, odezwał się telefon.

– Słucham, Zieliński...

– Dobry wieczór.

Poznał głos kierownika Centralnego Laboratorium, zdziwił się. Miało go nie być w Warszawie.

– Jesteś w domu? – spytał gasząc radio.

– Tak. Przeziębilem się i nie wyjechałem. Sam siedzisz?

– Aha. Miałem teraz trochę się przejść, gdzieś nad Wisłę.

– O tej porze?

– Ciepło. – Zerknął na termometr za oknem. – Szesnaście stopni. Ładny październik w tym roku.

– Jak ciepło, to będzie łało. Może zajdziesz do mnie? Jest Januszewski, pogadamy.

– Dobrze. Będę za dwadzieścia minut. Powiedzmy, pół godziny.

– To czekamy.

Włożył ciemnobrązową zamszową kurtkę, na jedno ucho nasunął czarny beret. Stojąc przy biurku zawahał się, wzruszył ramionami. Wbrew wyraźnym zaleceniom nie wyjął z szuflady swojej FN-ki, nie włożył za pasek. W końcu, jest w Warszawie, nie gdzieś na pustkowiu. Pogasił światła, starannie zamknął drzwi.

Na ulicy snuły się grupki spacerowiczów, ciepły wieczór wyciągnął ich z domów. Przy kawiarni na placu czynny był jeszcze letni ogródek, wypełniony do ostatniego miejsca.

„A może trochę spaceru?” – pomyślał. Kierownik mieszkał na Żoliborzu, można było przejść się Wybrzeżem Kościuszkowskim, potem wsiąść w autobus.

Skręcił w boczną ulicę, po kilku minutach znalazł się nad Wisłą. Rzeka była ciemna, spokojna, drobne fale pluskały cicho przy nabrzeżu, płynął stamtąd zapach ryb, smoły i drewna, leżącego opodal przycumowanych łodzi. Błyskało światło i dolatywał stuk młotka, pewnie ktoś naprawiał łódź.

Szedł wolno, chciał nasycić płuca świeżym powietrzem, w roboczy dzień nie było ku temu okazji. W Centralnym Laboratorium wdychał od rana do późnego wieczoru opary środków chemicznych, o letnim urlopie dawno już zapomniał. „Właściwie – rozważał, przyglądając się samochodom, zaparkowanym na ulicy, lubił dobre wozy – w grudniu można by wyskoczyć do Zakopanego, choć na parę dni. Staszek da sobie radę z analizami. Tylko ta komisja... Cholera, wciąż im mało, wciąż węższą i kręczą nosami, jak ja ich przekonam, że mam rację?... Ale wózek, niech go kaczka! «Taurus», najnowszy model. Takiego bym kupił. Nie, lepiej nowego «Fiata». Taki fiacik jasnogranatowy. Co mi się dzisiaj te granaty uczepliły? «Przyjdę do ciebie, niebieskooka»...”

Zatrzymał się obok drzewa, było skrzywione od rzecznoego wiatru, tak już jakoś wyrosło. Zapalił papierosa. Maleńki płomyk na parę sekund rozświetlił szczupłą twarz i zgasł. Komuś ta chwila jednak wystarczyła.

*

Szef Centralnego Laboratorium, profesor Bednarek, po raz trzeci nakręcał dobrze mu znany numer i długo trzymał słuchawkę przy uchu. Sygnał powtarzał się regularnie, ale z tamtej strony nikt nie podchodził. Widocznie właściciela nie było w domu.

– Gdzie on łązi, do diabła! – rzucił z gniewem.

– Chyba nie wpadł pod samochód – mruknął jego zastępca, krępy, barczysty inżynier-elektronik o brzydkich rysach i zadziwiająco pięknych, błękitnych oczach, które nie pasowały do tej twarzy.

Profesor skrzywił się, wzruszył ramionami. Był jednak niespokojny. Docent Adam Zieliński nie miał zwyczaju się spóźniać, zwłaszcza na rozmowę ze swoim szefem, choćby ją potraktować całkiem prywatnie, jeżeli takie w ogóle ostatnio między sobą prowadzili.

A teraz spóźniał się już ponad godzinę.

– Może coś zaszło – rzekł, wstając z fotela. – Napijesz się? – Nie czekał na odpowiedź, nalał inżynierowi winiaku. Odstawił butelkę, podszedł do okna i rozsunawszy story wpatrywał się w pustą prawie ulicę.

– A ty ciągle o tym samym – rzekł Januszewski, przyglądając się kieliszkowi pod światło. – Raz tam, kiedyś, proponowali, a ty już myślisz, że mu coś grozi.

– Wcale tak nie myślę.

– To po co kazałeś mu postarać się o broń? I poparłeś jego podanie w milicji.

– Widzisz... – Bednarek urwał niezdecydowanie.

– Boisz się o niego.

– Słuchaj! – profesor odwrócił się nagle, przysiadł na poręczu starego fotela. – Wiesz, co to jest „Camilla”?

Inżynier spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Uważasz, że wczoraj spadłem z księżycy?

– Nie. Ale powtarzam: wiesz, co to jest „Camilla”?

– Oczywiście. Znana firma o zasięgu światowym, ma swoje agentury na całym Zachodzie, poza Europą również. Wyroby chemiczne, farmaceutyki, tworzywa i tak dalej.

– To wszystko?

– Mam ci pokazać ich prospekty?

– Słuchaj, Stachu. „Camilla”, to jest bezwzględność. Absolutna, nie licząca się z nikim i z niczym. A przy tym wielkie pieniądze. Kapitał na skalę B.A.S.F. czy innego diabła. Jeżeli

„Camilla” chce mieć coś albo kogoś, to nie cofnie się przed żadnym krokiem, aby go zdobyć. A jak nie zdobyć, to zniszczyć.

– Nie przesadzasz? – Januszewski patrzył na profesora sceptycznie. Dla niego wielka firma „Camilla” przedstawiała się jedynie jako świetnie zorganizowane przedsiębiorstwo, które chce i umie zarobić. Ale nic poza tym.

– Daj Boże, abym przesadzał.

– Zresztą, Adamowi proponowali tylko bardzo luźną współpracę.

– A nie przyszło ci na myśl, dlaczego właśnie jemu? Dlaczego nie innym chemikom, fizykom, biologom z Centralnego Laboratorium, tylko jemu?

– Nie mam pojęcia. Wyjeżdżał parę razy za granicę, zetknął się z nimi, więc zaproponowali jemu.

– Inni też wyjeżdżali. I też mieli kontakt z „Camillą”, bo musieli mieć, sprzedawaliśmy tam niektóre specyfiki, coś od nich kupiliśmy. Nie, mój drogi. Oni zwrócili się do Adama, bo wiedzą o „Skowronku”.

– Nieprawda! – zachnął się inżynier. – Nigdy w to nie uwierzę. O „Skowronku” wie tylko... poczekaj, prócz Adama i nas dwóch, tylko Wroński. Cztery osoby. Aha, no i Boczań. Ale za niego dałbym głowę.

– Tak jak ja za Wrońskiego. A mimo to, powtarzam ci: „Camilla” dowiedziała się o tym wynalazku. Zwrócili się do niego o współpracę, bo mieli tamto na uwadze. Adam odmówił bardzo ostro, nawymyślał im po swojemu.

– Wiem – roześmiał się Januszewski. – Stary partyzant. Rozgniewał go sam fakt propozycji, że dla obcych i w ogóle...

Milczeli parę minut. Zastępca spojrzał na zegarek.

– Za sześć jedenasta – powiedział ze zdziwieniem. – Co mu się mogło stać?

– Zadzwoń, może jest w domu. Zasnął albo chory.

– Tak by nagle zachorował? Ile to... dwadzieścia osiem, trzynaście, dwadzieścia pięć – starannie wybierał cyfry.

Ale telefon docenta Zielińskiego nie odpowiadał.

– Słuchaj – profesor zaniepokoił się naprawdę – pojedź do niego, dobrze? Może coś się tam stało. Czekaj, dam ci klucze.

Podszedł do żelaznej szafki, wciśniętej między regały i oszkloną bibliotekę, szukał chwilę, potem wręczył inżynierowi małe zawiniątko. Od pewnego czasu mieli ze sobą taką umowę: każdy oddał szefowi jedną parę kluczy do swego mieszkania. Na wszelki wypadek.

Inżynier wyszedł do przedpokoju, włożył ortalionowy płaszcz, potem stał jeszcze chwilę i patrzył na Bednarka swymi błękitnymi oczami, jakby chciał odwlec to, co go czekało. „A może on jest z babką – myślał – i ja tam wejść, wygłupię się”.

– No, idź – profesor pchnął go lekko w stronę drzwi. – I zadzwoń stamtąd, jakby co...

– Jakby: co? – zaakcentował, odwrócił się i wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Wolał jej nie słyszeć.

To, co zobaczył później w mieszkaniu, nie budziło jednak żadnych podejrzeń ani niepokoju. Wyglądało zupełnie tak, jakby Zieliński rzeczywiście wyszedł do swego kierownika czy gdzie indziej, wyszedł spokojnie, zdążywszy pogasić światła i zamknąć drzwi na wszystkie zamki. Na stoliku przy radiu leżała książka założona gazetą.

Odbiornik był zgaszony. Inżynier dotknął drewnianego pudełka, ale nie wyczuł najłżejszego ciepła. To o niczym nie świadczyło, Zieliński mógł w ogóle nie słuchać radia. Mógł też zgasić je, wychodząc z domu dwie godziny temu.

No tak. A może jest już u szefa? Sięgnął po słuchawkę. Bednarek odezwał się natychmiast.

– Januszewski – powiedział inżynier. – Nie przyszedł?

– Nie. A jak tam?...

– W mieszkaniu wszystko w porządku. Chyba wyszedł do ciebie o dziewiątej, no i coś tam zaszło po drodze.

- Myślałem o tym, ostatecznie mógł kogoś spotkać, zagadać się. A potem zapomniał.
- Pewnie masz rację. Przyjdzie jutro do pracy, przeprosi. Czy mam ci odwieźć klucze?
- Nie, zatrzymaj. Dasz mi jutro rano. Do widzenia.
- Dobranoc – odparł inżynier.

Wychodząc z mieszkania nie był jednak wcale przekonany, że Bednarek ma rację. Zieliński nie zapomniałby o rozmowie z profesorem, to do niego nie pasowało. Musiało więc zajść coś niezwykłego, co zatrzymuje go aż tak długo poza domem.

Dobrze, ale co?

*

Motorówka wolno sunęła po rzece. Sierżant Walicki z Komisariatu Rzecznego Milicji Obywatelskiej rozglądał się dokoła, raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, w październiku nikt się już w Wiśle nie kąpał, a samobójcy trafiali się nader rzadko. Przy sterze siedział zmartwiony kapral Maroch. Myślał, że do niedzieli tylko cztery dni, a w niedzielę wypadają imieniny jego dziewczyny. Zmartwienie polegało na tym, że kapral nie miał pieniędzy na prezent.

– Heniek – odezwał się, wyłączając motor. Łódź płynęła jeszcze trochę z rozpędu, potem zachybotała się lekko na fali.

– No? – mruknął sierżant. Wiedział, o co tamtemu chodzi, ale nie chciał mu tego ułatwiać.

– Heniek, pożycz dwie stówki.

– Do kiedy?

– Do pierwszego, na słowo.

– Dlaczego ja zawsze muszę mieć dla was forszę – powiedział Walicki w przestrzeń. Pytanie było retoryczne i Maroch nie zareagował na liczbę mnogą.

– Pożyczysz?

– A jakbym tak raz potrzebował dla siebie, to co?

– To ja bym ci pożyczył.

Walicki westchnął ciężko, wydobył skórzany portfel, odliczył dwa czerwone papierki.

– Masz, ofiaro. Nudno na tej rzece, urwać się można.

Maroch osądził, że trzeba kolegę zabawić. Przypomniał mu się kawał z marchewką, zachichotał i zaczął opowiadać:

– Jeden facet bardzo nie lubił... – nagle umilkł, zapatrzył się na brzeg rzeki, porośnięty wiklinami. Walicki również spojrzał w tę stronę.

– Podjedź! – rzucił, unosząc się z siedzenia. Schylił się, oparł jedną ręką o plecy kaprala i patrzył coraz uważniej na zbliżające się krzaki.

Coś ciemnego, ni to kawał pniaka, ni to pęk szmat czy worek, wystawało z wody pomiędzy wiklinami. Poruszało się leniwie na fali, obok tego czegoś rozchodziły się małe kręgi, jakby co chwila ktoś wrzucał do wody kamyczki.

– Pies? – mruknął Maroch.

Sierżant nie dosłyszał, warkot motoru zagłuszał słowa. Podjechali blisko, ale krzaki broniły dostępu, ciemny pniak czy utopiony pies tkwił pomiędzy nimi, przysłonięty gałęziami. Kapral zgasił silnik, sięgnął po bosak.

– Ostrożnie – upomniał sierżant. – Czekać, spróbuję popchnąć, tu nie jest głęboko.

Odebrał mu bosak, dotarł kijem do dna, zaparł się w łodzi nogami. Kapral rozsuwał wikliny, motorówka, ocierając się z hałasem o gałęzie, wpłynęła metr dalej, potem jeszcze trochę. Teraz mieli to przed sobą.

– Człowiek – szepnął Maroch, przyglądając się topielcowi przymrużonymi oczami. Jak zwykle, zaczynało go mdlić. Potem przechodziło, najgorzej było w pierwszej chwili.

– To nie dzisiejszy – mruknął sierżant. Poruszył nosem, zmarszczył brwi. – Chyba od tygodnia czy jak.

– Może woda skądś przyniosła?

– Pewnie. Ale zaklinowane w krzakach... Nie, musiał tutaj.

– Tu się nie utopi. Przy samym brzegu?

– Może po pijaku. Albo zasłabł.

– Albo ktoś go załatwił.

Milczeli chwilę, nie spuszczać oczu ze zwłok. Teraz widać było wyraźnie ciemną kurtkę czy płaszcz i tył głowy z mokrymi, czarnymi włosami. Palce jednej ręki wystawały trochę nad powierzchnię wody i obejmowały gałąź, jakby w przedśmiertnym skurczu.

– Heniek! – rzekł nagle Maroch. – Pamiętasz radiogram?

– Ten docent?

– Tak. Może to on?

– Cholera!

Walicki zdjął czapkę, przejechał palcami po włosach, wcisnął ją z powrotem, wszystko po to, aby podjąć właściwą decyzję. Ruszać ciało czy nie ruszać, zastanawiał się. I rzekł głośno:

– Nie ruszamy go. Podjedź kawałek dalej, tam nie ma krzaków, przybijesz do brzegu. Ja wyjdę, poczekam. Ty zawiadom naczelnika, niech przyjadą z kryminalnego. Trzeba zrobić zdjęcie, i w ogóle.

– A jeżeli to nie on?

– Co się martwisz? Ty się martw, jak mi oddać dwieście złotych. On nie on, zbadać trzeba. To mi nie wygląda na samobójstwo. No, jazda!

Mimo że trwał jeszcze dzień, obok topielca było trochę straszno. W tym miejscu nie przechodził żaden człowiek, nawet pies nie zajrzał i Walicki, stercząc na brzegu przy wiklinach, zawzięcie palił papierosa, jednego po drugim, odwracając głowę na rzekę i daleki zarys mostu.

Był ciekaw, czy to rzeczywiście ciało docenta Zielińskiego, który zaginął tajemniczo kilka dni temu, a może nawet przed tygodniem, nie pamiętał dokładnie radiogramu. Nie znał nikogo z Centralnego Laboratorium, wiedział jednak, że sztab naukowców i techników pracuje tam nad problemami, które dla całego kraju mają ogromne znaczenie. Dostać się do „CL” nie było łatwo, dobierano ludzi nie tylko pod kątem wiedzy fachowej, ale i oblicza politycznego. Kto tam pracował, liczył się dość wysoko.

„Jeżeli to on – rozważał, kątem oka spoglądając na wikliny – to sam do wody nie skoczył, tylko ktoś mu w tym pomógł. Ale że też się nie bronił. Musieli go zaskoczyć, sk...syny.”

Podchwycił uchem daleki warkot motorówki. Poprawił pas, przesunął trochę kaburę pistoletu i patrzył na wodę, aż dojrzał łódź zbliżającą się szybko w jego kierunku. Prócz Marocha siedział tam zastępca kierownika komisariatu i fotograf. Kiedy wyskoczyli na brzeg, zastępca – jasnowłosy kapitan – powiedział do fotografa:

– Zrób zdjęcie tak, jak teraz leży w wodzie. Potem zobaczymy, czy...

Urwał, wyjął z kieszeni małą fotografię i przyjrzał się dokładnie twarzy tego człowieka. „Żeby choć nie on” – pomyślał z niepokojem.

Delikatnie, jakby umarły mógł odczuć ból dotknięcia, odczepili z gałęzi zastygłe palce, wyjęli ciało z wody i położyli na brezentowej płachcie. Potem kapitan odwrócił zwłoki twarzą ku niebu. Patrzył długo, aż Walicki spytał cicho:

– On?

– Nie wiem – mruknął zastępca. Ze ściągniętymi brwiami spoglądał na zmasakrowaną twarz, na zdjęcie i porównywał. Nie było to łatwe.

– Z bardzo bliska! – zdziwił się Maroch. – Chyba z metra, może jeszcze bliżej.

– Musieli go zająć z tyłu, odwrócił się nagle i wtedy – rzekł sierżant. – Łomem albo czymś takim.

Rozejrzał się po trawie, choć trudno było się spodziewać, że narzędzie zbrodni leży jeszcze gdzieś niedaleko.

– Trzeba, mimo wszystko, poszukać – kapitan odsunął się trochę, fotograf przyklęknął obok ciała i zrobił kilka zdjęć. – Zamszowa, brązowa kurtka... może być, chociaż teraz trudno poznać – dotknął okrycia, było czarne, mokre, ciężko wyslizgiwało się z ręki.

– Tamten nosił beret – przypomniał Walicki. Spojrzał na krzaki, zaczął bosakiem o mały, ciemny przedmiot, wyciągnął na brzeg.

– Jest beret – powiedział kapral. – To chyba on.

– Nie śpiesz się. Setki ludzi nosi w październiku berety.

– Może ma jeszcze dokumenty – zastępca schylił się, zagłębił rękę w kieszenie mokrej kurtki, spróbował ją rozpiąć, ale guziki opierały się, nie chciał szarpać, aby nie uszkodzić materiału. W kurtce nic nie znalazł, dał więc na razie spokój poszukiwaniom.

– Sierżancie, zostańcie tu jeszcze – zdecydował. – Spróbujcie poszukać, czy gdzieś w krzakach nie leży łom albo inne żelazo. Nie wiem, może to kamieniem, ale wygląda mi na łom. Ja zawiadomię Komendę Stołeczną, przyślą ekipę i samochód po zwłoki. Patrolowaliście tu wczoraj?

– Tu akurat nie – odparł Maroch. – Ale to się musiało stać gdzie indziej, kapitanie, i woda przyniosła.

*

Człowiek był obcy w tym mieście, chociaż przebywał w nim już prawie dwa miesiące. Znał ulice, domy, sklepy, ale nie znał ludzi. No, kilku, z konieczności, była to jednak znajomość czysto służbowa, nie liczyła się po pracy. Bo pracował, musiał to robić, niezależnie od innych zadań, jakie mu zlecono, oczywiście praca w spółdzielni była niczym w porównaniu do tamtego.

„Pokrywka” – tak mu powiedziano, dobrze to rozumiał, człowiek musi mieć jakieś zajęcie, po którym inni by go poznawali, jakiś papierek, stanowisko służbowe, a także adres, pod którym każdy mógłby go znaleźć w razie potrzeby. Wszystko było chwilowe, mało ważne, liczyły się tylko tamte sprawy. Teraz zresztą, kiedy załatwił co do niego należało, w każdej chwili spodziewał się odwołania. Myślał o tym z utęsknieniem, miasto nie podobało mu się, żyło własnym życiem, nie zwracając na niego uwagi.

Pod wieczór szedł przez Krakowskie, spoglądał na wystawy, trochę na ludzi, myślami nie bardzo obecny, gdyż liczył po raz dziesiąty chyba, ile zarobił, wykonując to, co do niego należało. Sądził, że tym razem nieco więcej, było z tym sporo roboty.

– Co jest, panie Regun? – usłyszał nagle tuż nad uchem. – Znajomych pan nie poznajesz?

Przystanął, ułożył wargi w uśmiech, niełatwo mu to przychodziło.

– Cześć, panie Stawerski – powiedział ostrym, trochę obcym akcentem. Podał rękę, był to kolega ze spółdzielni. – A, tak się zamyśliłem.

– Wstąpimy na piwko, co?

Udał, że się spieszy, spojrzął na zegarek, potrząsnął głową z ubolewaniem.

– Nie mogę, panie Józefie. Umówiłem się.

– Z dziewczyną?

– Aha. No, to do jutra.

– Szkoda, że pan nie może. Do jutra.

Odszedł. Regun wcisnął mocniej kapelusz, postawił kołnierz jesionki. Nie chciał spotykać nikogo, wolał powrócić myślą do mozolnych obliczeń, podpartych rozważną kalkulacją: za dobrą robotę trzeba dobrze płacić. Że robota była dobra, tego był pewien. Takiego ważniaka załatwić... ho, ho! Spokojnie, cichutko, bez krzyku, alarmu, milicji i tego wszystkiego, co w każdej chwili mogło nastąpić.

Widział później – ale było to już po czterech dniach – jak milicja wyciągnęła zwłoki z wiklinowych krzaków nad brzegiem, dziwił się trochę, że aż tam dopłynęły, kabel musiał ocierać się o kamień i w końcu ześliznął się, a woda uniosła ciało dalej. Nie zrobił błędu, taka rzecz była do przewidzenia, może nawet dobrze, że milicja już go znalazła i że tamci chyba wiedzą: nie żyje. O to przecież w końcu chodziło. A że wiedzą – nie wątpił, oni zawsze o wszystkim wiedzieli, sam się nieraz dziwił skąd, ale to już była ich sprawa. Ich też rzeczą było myśleć, a jego wykonywać i brać pieniądze. Nie zgodziłby się na odwrotną sytuację.

Tak rozważając, doszedł do „Kopciuszka” w Alejach, lubił ten lokal, atmosfera mu odpowiadała i mógł się tu zgubić, stać się jednym z licznych klientów, załatwiających swoje nie zawsze praworządne interesy.

Z filiżanką kawy i szarlotką precyzyjnie się w kącie pod oknem, uśmiechnął się pytająco do jakiejś dziewczyny, ale odwróciła się bokiem. Rzeczywiście nie wzbudzał zaciekawienia tą nijaką twarzą i wyglądem starszego pana bez pieniędzy, choć na emeryta był mimo wszystko za młody, postarzała go wciąż powiększająca się łysina i pewnie dlatego kobiety omijały go wzrokiem.

Samotnie wypił kawę, zjadł ze smakiem szarlotkę, zapalił papierosa i wyszedł na ulicę.

Później nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego w pewnej chwili odwrócił się. Ktoś krzyknął? Nie, chyba nie. Może jakiś hałas, syrena pogotowia czy nieoczekiwany dźwięk klaksonu?

W każdym razie odwrócił się i wtedy zobaczył. Wrażenie było tak ogromne, że zapanowało mu oddech i stanął jak wryty, po prostu jakby ktoś schwycił go za obie nogi i unieruchomił w miejscu. Musiał mieć nieprzytomny wyraz twarzy, bo kilka osób spojrzało na niego, ktoś się roześmiał i gwizdnął mu nad uchem. Otrząsnął się, skoczył naprzód, wiedział, że za wszelką cenę musi się przekonać, co to było. Ale tłum stawał mu wciąż na drodze, ludzie śpieszyli się, jak zwykle w Warszawie, przedzierał się z uporem, po chamsku, depcząc po nogach. Wszystko na próżno. Przebiegł obok sklepu „Irena”, minął bar „Mikado”, wpadł w Nowogrodzką i stanął bezradny.

Nie było. Ani śladu brązowej, zamszowej kurtki i czarnego beretu, ani śladu tej niewysokiej, smukłej postaci o lekkim, charakterystycznym chodzie.

A przecież widział go – tam, kilka kroków za „Kopciuszkiem”, widział wyraźnie plecy w zamszowej kurtce i beret, nasunięty trochę zawadiacko na jedno ucho! Plecy... kiedy się odwrócił, a więc chyba musiał go minąć, ale to wykluczone, nie przechodzili koło siebie, na pewno byłby spostrzegł.

Postał jeszcze chwilę, potem zaczął iść powoli w Marszałkowską. Teraz, kiedy ochłonął z wrażenia, zaczął sobie wymyślać od głupców. No więc co z tego, że zamszowa kurtka i beret? Przecież twarzy nie widział. Takich niewysokich i szczupłych może być w mieście z pięć tysięcy. Zamszową kurtkę można kupić, beret też. Sam by mógł się tak ubrać, choćby jutro.

„Dureń” – pomyślał z gniewem. Nagle zdjął go strach, czy nie widział tego wszystkiego ktoś z tamtych. Nigdy nie był pewien, czy nie jest pod ich obserwacją, mogli mu nie dowierzać. Pocieszył się, że gdyby nawet... to obserwator nie zdołałby pojąć, o co właściwie chodziło w tej bezsensownej gonitwie. A w razie czego, jakoś się tam wytłumaczy.

Mimo wszystko trochę zdenerwowany i zły, zabrał komuś sprzed nosa taksówkę, nie zwracając uwagi na oburzony protest, i kazał się odwieźć do domu, choć na ogół tego nie

robił bez widocznej potrzeby, wolał oszczędzać. Mieszkał w sublokatorskim pokoju, dom był stary, ściany wysokie, sufit ginął gdzieś daleko, dawało to wrażenie zimna mimo rozgrzanego kaloryfera. Nie lubił tego pokoju, ale doceniał jego zalety. Gospodarze – podejrzewał ich o handel walutą – nie pytali o nic, nie zaglądali do pokoju w czasie nieobecności sublokatora, wiedział o tym, bo miał swoje własne znaki rozpoznawcze i spostrzegłby natychmiast, gdyby zostały naruszone.

Otworzył drzwi specjalnie wykonanym kluczem, który niełatwo było podrobić, zamknął je za sobą, przekręcił klucz. Leżąc potem na tapczanie wsłuchiwał się nieuważnie w odgłosy zza ścian, ktoś nastawił radio czy telewizor, ktoś inny spierał się o coś podniesionym tonem, szumiała woda w łazience, ulicą przesunął się ciężko autobus. Wszystko było znane, uspokajające, zachciało mu się spać, pora była jednak wczesna, postanowił więc przyrządzić sobie kolację. Na elektrycznej kuchence nastawił imbryk z wodą, pokrajał chleb, wyciągnął z lodówki masło i baleron w plastikowym opakowaniu. Jadł dużo, myślami znowu powrócił do rozważań: ile zapłacą, kiedy, w jakiej walucie.

Następnego dnia po południu wybrał się do kina. W „Palladium” dawali jakiś western, przed kasą tłoczyło się trochę młodzieży, dostał jednak bilet. Z zadowoleniem usadowił się w fotelu, wyciągnął z kieszeni czekoladowy batonik, żuł lepką słodycz i obserwował pokaz mody przed seansem. Zainteresowała go czarnowłosa modelka w mini spódniczce, miała długie, smukłe nogi. Poczul niepokój, pomyślał trzeźwo, że zbyt długo był bez kobiety, ale na jakąś bliższą znajomość nie mógł sobie teraz pozwolić, tamci zakazywali wszelkich kontaktów z dziewczynami, co najwyżej płatna przyjemność, i to nie u niego w mieszkaniu. Płacić nie chciał, szkoda mu było pieniędzy.

Zaczął się seans. Podobało mu się, było sporo strzelaniny, bicia w mordę, trochę seksu w umiarkowanym tonie, film był kolorowy, panoramiczny. W chwili kiedy przywódca bandy, odziany od stóp do głowy w czarną skórę, mierzył zza drzewa do nadjeżdżającego szeryfa, zerwała się taśma i na sali rozbłysło światło.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI